

GABRIELA ZAPOLSKA



SEZONOWA
MIŁOŚĆ

Gabriela Zapolska

SEZONOWA MIŁOŚĆ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-36-6

Projekt okładki: Justyna Niedzińska

Wróciwszy do hotelu pani Tuśka raz jeszcze przeliczyła pieniądze.

Miała całe czterysta rubli, bo w Krakowie starała się nie kupić nic prócz rzeczy niezbędnych dla siebie i Pity.

Trzy kapelusze, dwie parasolki, cztery metry aplikacji, kilka par bucików białych i szarych (tych karlsbadzkich), za które w Warszawie zapłaciłoby się trzy, cztery razy tyle...

Za to ani ona, ani Pita przez dwa dni nie jadły obiadu. Piły kawę, jadły ciastka, nawet i szynkę przyniesioną w sekrecie pod peleryną do hotelu.

Oszczędność przede wszystkim! – Tuśka zniosła nawet afront pokojowej, która znalazłszy koło umywalni zatłuszczony papier z okrawkami szynki, przestała jej mówić „jaśnie pani”.

Lecz Tuśka i ten cios dźwignęła z heroizmem.

Przechyliwszy się przez okno, wsłuchiwała się w jęczące melodie Mariackiego hejnału. Udawała, że ją to zajmuje nad wyraz. W gruncie rzeczy jednak cierpiała nad zanikiem szacunku u wykrochmalonej hotelowej sługi i z cierpienia tego wykwitł (jak zresztą zwykle w takich razach) żal – do męża.

– Przez niego – pomyślała – i przez to, że się muszę oszczędzać i mam mało pieniędzy.

Pita spała opakowana papataczami i drożdżowymi ciastkami. [papatacz: rodzaj ciasta lub ciastka drożdżowego z rodzynkami i cynamonem] Rozrzuciła dokoła siebie prześcieradła i całą masę delikatnych i złotych, jak żdźbła żyta, włosów.

Tuśka zbliżyła się do śpiącej córki i machinalnie narzuciła na nią prześcieradło.

– Wiecznie się rozkrywa – pomyślała prawie ze złością.

Powróciła znów do okna i wzrokiem ogarnęła olbrzymią przestrzeń Rynku, na której dźwigała się jasno oświetlona dołem masa Sukiennic. Zdawało się, że jest to jakieś olbrzymie mauzoleum, obsadzone dokoła grzędą świetlnych tulipanów. I coraz dalej, po Rynku wznosiły się bukiety żółtawych świateł, przeciętych nagle brutalną linią białej, oślepiającej lampy łukowej. Na bruku czerniało mrowisko ludzi i płynęły jak szalupy tramwaje. Ostry odgłos dzwonka szarpał nerwy. Niby to były wszystkie wzięte razem odruchy życiowe, a przecież jakaś bezbrzeżna pustka, nuda i szarość przysłaniała wszystko szarym, nieprzeniknionym całunem.

Tuśka wlepiła swe oczy w płonące bukiety lamp i znów machinalnie obliczała pieniądze.

– Czterysta rubli, to pięćset guldenów...

I zaraz przyszła jej myśl ostra i niemiła:

– Gdzie ja podziałam już około stu rubli?

Zaczęła natężyć umysł wspomnieniami wydawanych pieniędzy.

– Musieli mi ukraść czy co...

Aż nią targnęło – zdawało się jej, że jacyś złoczyńcy obdarli ją żywcem ze skóry i taką obdartą pozostawili na słońcu i spiekotę słońca.

– Musieli mnie gdzieś okraść.

Lecz powoli przychodziła refleksja.

– Nie, nie... zobaczmy...

Liczyła teraz cyfry i doliczyła się rzeczywiście wydanych pieniędzy.

– Ładnie będzie, jeżeli tak dalej pójdzie... nim dojadę do Zakopanego, nie będę miała centa przy duszy.

Znów ogarnęła ją złość na męża.

– Przez niego muszę się martwić i nerwy sobie targać.

Nogi ją bolały.

Usiadła na krześle wstawionym we framugę okna. Oparła łokieć, z którego zsunęła się niebieska flanelowa matynka, i patrzyła ciągle w przestrzeń. [matynka: poranny ubiór damski; podomka, szlafroczek] Lecz teraz nie liczyła lamp i nie równała siły światła ze światłem lamp płonących na ulicach Warszawy – cofnęła się jakby wstecz, jakby w głąb siebie i mimo chęci i woli zaczęła przeżywać swoje codzienne, zwykłe życie, tam na Wareckiej, na drugim piętrze, we wnętrzu niewielkiego mieszkania, w którym tłoczyli się w kilkoro, zawsze skryci, nieufni, jakby wszyscy w nieświadomościach i domysłach pogrążeni.

Ten brak szczerości był znamioną cechą całego ich pożycia. Każde dziecko miało już w sobie to coś „między liniami”, czego nie wykazywało w chwili nawet, zda się, najserdeczniejszej.

Czy szło to od matki, czy od ojca, tego zbadać nikt nie mógł, bo pomiędzy Tuską a jej mężem było pod tym względem wielkie podobieństwo, nieledwie identyczność moralna.

– Zawsze politykujemy... – myślała nieraz Tuśka i gdy całowała w głowę wychodzącego z domu do szkoły syna, czuła, że to „polityka” to poddanie się grzeczne chłopca i to jej niby rozserdecznione zbliżenie, ten wiatyk na drogę...

W ciasnym mieszkaniu, gdzie najlepszy pokój stał pustką, „salonem” ochrzczony i zastawiony masą palm i fikusów, nikt z tych ludzi kilkorga nie obijał się o drugiego moralnie ani fizycznie i nikt nikomu przemocą do duszy się nie wdzierał.

Obchodzili się cicho i mieli dla siebie zdawkowe uśmiechy.

Gdy powiększyło się ich grono o jedną jeszcze żywą istotę, przyjmowano ją z pewną kurtuazją, ścieśniając się tylko trochę na przestrzeni życiowej.

– Tak będzie najlepiej, cicho i spokojnie – zdawali się mówić do siebie wszyscy, gdy zgromadzili się przy obiedzie lub wieczornej herbacie.

Rozmawiali wtedy, ale była to rozmowa nie poruszająca nigdy tej drugiej warstwy ich dusz.

Zdawało się, że czynią to przez delikatność, a była to, zda się, trwoga, aby nie ujrzeć nagle właściwych swych rusztowań.

Błędy i nałogi dzieci, jakkolwiek pod pokrywką grzecznego ułożenia schowane, istniały niemniej groźne i tragiczne. Nie poruszało się nigdy ich kwestii, obchodziło się mimo, tak jak ich skrofuliczne tendencje organizmu...

– Tak będzie najlepiej.

Z wolna wyjęczała dziewięta na miejskich zegarach.

I znów z wyżyny pruć zaczął powietrze hejnał, nawoływał, jęczał, rozdzierał samotne serca, zatopione w sobie albo we własnych wspomnieniach.

Przez myśl Tuśki przesunął się „mąż” – ten chudy, łysawy mężczyzna – drobny, grzeczny, niepozorny, który tak mało miejsca w domu i życiu zdawał się zajmować. Od lat całych „nie widziała” go przed sobą. Był zawsze obok niej, nawet w chwilach zbliżenia. Nie przychodziło jej na myśl spojrzeć na niego, dopiero w chwili odjazdu spojrzała nań całymi oczyma.

Stał na peronie kolejowym w swym zielonawym, wyszarzanym palcie. Wyszedł z biura, aby odprowadzić ją i Pitę. Wydał się jej dziwnie mizernym i postarzałym.

– Jedź, lecz się i uważaj na siebie! – mówił do niej, wychylonej przez okno wagonu.

Głos jego był matowy, ochryply.

Patrzył na nią spłowiałymi oczyma, otoczonymi siatką zmarszczek, lecz zdawał się jej nie widzieć.

– A pisz!...

Chciała i ona mu coś powiedzieć, coś jakby serdecznego, nie mogła jednak naprędce znaleźć nic odpowiedniego.

– Gdyby jednak – zaczęła – to jedzenie w restauracji nie służyło ci...

Lecz on uśmiechnął się blado.

– Ach, nie... – wyrzekł niedbale – nie pozwolę odejść kucharce, dopóki chłopców nie wyślę do Kalinówki. Będą jedli w domu. Zresztą to zaledwie tydzień.

– Ja też nie mówię o chłopcach, chodzi mi o ciebie...

Spojrzał na nią troszeczkę zdziwiony i zaraz uśmiechnął się uprzejmie, lecz jakby z przymusem, i pochylił trochę głowę.

– Dziękuję ci, nie troszcz się o mnie. Ja mam zdrowy żołądek...

Przechodził chłopiec roznoszący pisma ilustrowane.

– Może ci co kupić? – zapytał.

W tej samej chwili Pita wyjrzała z wagonu.

Błądziła roztargnionym spojrzeniem po peronie, po palcie wytartym ojca, po jego bladym uśmiechu, a policzek jeden miała wydęty angielskimi cukierkami, które wiecznie ssała.

– A może Pita chce pomarańczę? – zapytał Żebrowski.

Natychmiast dziewczynka grzecznie bardzo odpowiedziała:

– Dziękuję tatusiowi!

Ale on przywołał przekupnia i wybrał dwie duże pomarańcze, silnie czerwone.

Wybierał starannie, macając skórę chudymi, klekocącymi palcami.

Wreszcie zapłacił i pomarańcze do okienka, w którym wciąż jak w ramie bieląca twarz Pity, podniósł.

– Proszę cię, moje dziecko...

Ale Pita uważała za stosowne ceremonizować.

– Nie... nie... dziękuję...

Pani Tuśka wmieszała się z grzeczną interwencją:

– Ależ, moje dziecko, weź, skoro tatuś taki dobry...

– Zrób mi tę przyjemność – prosił ojciec.

Pita wzięła pomarańcze, lecz nie zniknęła z nimi we wnętrzu wagonu. Stała ciągle przy oknie i na tle szarego płaszczyka te ognisto barwne owoce ciągnęły oczy malarskim, ślicznym kontrastem barw.

Wymienienie tych uprzejmości, zdawało się, iż na chwilę wyczerpało całą tę rodzinę, i wszyscy umilkli, nie mając już sobie nic w chwili rozstania do powiedzenia.

Pani Tuśka myślała, iż źle robiła nie biorąc na drogę lepszej sukni. Panie, które wchodziły do wagonów, ubrane były świeżo i elegancko. Postanowiła ubrać się w Krakowie via Chabówka-Zakopane elegancko i zgrabnie.

Milczenie przedłużało się. Widocznie każde z tych trojga żyło w tej chwili w swoim odrębnym świecie.

Nagle gwizd przeraźliwy rozległ się w powietrzu – drzwi wagonów zatrzaśkiwały się pośpiesznie, ktoś przelatywał z drugiej strony pociągu, wołając ochryplym głosem.

Równocześnie Żebrowscy oboje ocknęli się z oddali, w której już znajdowali się pomimo pobliza.

– Jedziemy?

– Tak...

Łańcuchy szczęknęły, zakołysały się wagony.

Pita, Tuśka i Żebrowski uśmiechali się jednakowo, blado, uprzejmie.

– Bądźcie zdrowe!

– Ucałuj chłopców!...

– Tak... tak!...

Tuśka wysunęła rękę, Żebrowski uściśnął ją, ku Picie powiał kapeluszem. Uprzejmość całej rodziny zwiększyła się znacznie; widocznie chciano wyładować wzajemnie pewną ilość grzeczności, aby nic sobie nie pozostać dłużnymi.

Pociąg zaczął dreptać coraz szybciej, charcząc, gdakając gniewliwie.

Żebrowski stanął na peronie i ciągle jednakże uśmiechnięty, kłaniał się w stronę odbiegającego wagonu.

Dwoje rączek dziecinnych oddało mu przez chwilę ukłon, następnie powiało ku niemu ramię żony w szerokim rękawie piaskowej, wełnianej bluzki, aż wreszcie znikło wszystko.

Żebrowski przestał się uśmiechać; zdawało się, iż zdjął ten zdawkowy uśmiech jakby maskę z twarzy i schował go gdzieś daleko w swym duchowym zanadrzu.

I skręciwszy na miejscu, mechanicznym, bezmyślnym krokiem wyszedł z peronu.

*

Tymczasem pani Tuśka zajęła miejsce w przedziale drugiej klasy.

Naprzeciw niej usiadła Pita, a ten sposób siadania, elegancki, sztywny, drewniany był całym poematem „ślicznie ułożonej dziewczynki”.

Wyjęła z kieszonki paltocika czyściuchną chusteczkę, rozłożyła ją na kolankach i białymi paluszkami zaczęła obierać pomarańcze.

Pani Tuśka patrzyła chwilę na córkę.

Gdy nagle pociąg wyjechał na czyste pole, w jasnym świetle wypłynęła dokładnie gładziucha, młodziutka twarzyczka dziewczynki.

Drobne usteczka zacięte nikły prawie w żółtawobiałej cerze preraphaelowskiego aniołka, cieniuchne pasma wysilonych włosów bramowały czoło trochę podłużne, wypukłe.

Jasne rzęsy zakrywały oczy bladobłękitne, pocętkowane rudymi plamkami.

Całość dziewczynki była chłodna, zamknięta w sobie – silnie już indywidualna.

– Do kogo ona podobna? – myślała Tuśka. – Oczy moje... włosy niewiadomego koloru, twarz nadto ściągła.

Nagle dziecko rozłożyło na rączce obraną i podzieloną na ćwiarteczki pomarańczę i jakby różę krwawozłocistą podało matce.

– Proszę... mamusiu – wyrzekła uprzejmie.

Uśmiech blady, zdawkowy, ten uśmiech, wyhodowany tam, na Wareckiej, jak kwiat cieplarniany, rozszerzył wąskie i tak specjalnie zaciśnięte usta dziewczynki.

– Proszę, mamusiu.

Tuśka machinalnie wzięła ćwiarteczkę owocu i jakby w zwierciadle, na ustach swoich odbiła uśmiech córki:

– Dziękuję ci!

A równocześnie myślała:

– Ależ to jego uśmiech, to cały ojciec!

Nie widziała w tej chwili siebie i nie czuła zwierciadlanej dokładności, z jaką wyraz twarzy córki odbił się na jej własnej twarzy.

II

Przejęczała znów jakaś godzina nad ciemną głębią Rynku.

Do studni tej, wilgotnej wiecznie i pełnej nieuchwytej „chandry”, wpadły te dźwięki obojętnie, jakby szcęk łańcuchów motanego w górze, na walcu, wiadra.

Z wiadrami, rozpiętymi na skrzydłach, pochylało się nad tą studnią Przeznaczenie i wyławiało ze smutnej studni fale ludzkich konwulsji lub zaników – „życiem” pospolicie nazwane.

Konwulsją mózgu był w tej chwili żal Tuśki do męża za to, że tylko taką, nie zaś większą sumę zdołał dać jej „na Zakopane”.

Wprawdzie wiedziała, z jaką trudnością zbierał i te pieniądze, lecz to jej nie rozbrajało.

Przeciwnie, ogarniała ją pewna pogarda teraz, gdy go nie widziała przed sobą w zniszczonym paltocie i z pokrajaną bruzdami twarzą.

– A wreszcie mógł wziąć palto na wypłaty – pomyślała wyruszając ramionami – ja to robię, a korona mi z głowy nie spada. Skoro mi da miesięczną pensję na dom, zanoszę ratę do krawcowej i wszystko jest w porządku. Nie chodzę nigdy jak dziadówka...

Zastanowiła się, iż zanadto zajmuje się mężem i jego paltotem.

– Niech sobie robi, co chce. To przecież jego, nie moje pieniądze...

Poszła za męża bez posagu, tak, miała tylko porządną, obywatelską wyprawę. Ale on wiedział, że bierze pannę z dobrego domu i że musi „starać się o to”, aby miała to, do czego przywykła.

„Starał się” – i zdaje się, że to było zupełnie naturalne.

Ona nawzajem starała się być dobrą żoną i dobrą matką. Płaciła mu uprzejmością za jego uprzejmość. Ich świat wewnętrzno-zewnętrzny był w porządku.

Dwanaście lat pilnowała usilnie, aby nic ze zbytecznych i targających spokój i pewną przyjętą równowagę odruchów nie wypłynęło na powierzchnię, pod którą kryli swe zagadkowe głowy.

I dlatego z dumą osądziła, że jest „stróżem domowego ogniska”.

Mimo to dziś właśnie i dlatego może głównie, iż oddaliła się od owego „ogniska”, przesiąkniętego wilgocią bezustannie zlewanych wodą fikusów, palm i rododendronów, czuła w sobie jakiś niepokój, coś niewyraźnego, tak jakby patrzyła na jakąś źle odgrywaną komedię z wysokiej galerii.

Może dlatego, że dziś w cukierni przeczytała w jednej z galicyjskich gazet obszerny felieton, noszący w sobie myśl, a na grzbiecie tytuł *Starzy i młodzi*.

Szeregi literek drobnych, ustawionych rzędami, wywoływały wieczystą walkę pomiędzy tymi, którzy odchodzą, a tymi, którzy przychodzą.

„Dziś – tak jak zresztą zawsze – ojcowie i dzieci, starzy i młodzi, nie tylko że się nie rozumieją, ale nie mają ochoty nawet się porozumieć. A przecież powinni żyć we wzajemnych wielkich ustępstwach, biorąc pod uwagę, że z tych ustępstw może wykwitnąć dla wszystkich zrozumienie Prawdy życiowej. Jeśli starsi bólem doświadczenia Prawdę tę zrozumieli, jeśli młodszy ogniem i siłą intuicji Prawdę odgadli, toć powinni wzajemnie oddać ją sobie i dzielić się nią z pośpiechem dobrych mędrców, którzy nie chcą nieść swych mądrości do grobowej ciemni, lecz czynią z nich jasną lampę, płonąca z uczynną chęcią na świat cały”.

Takie były słowa i treść główna artykułu.

– Właściwie, po co to pisać i o co im chodzi? U nas żyjemy wszyscy w zgodzie, a każde z nas, rodziców, chętnie i o ile może, przerabia zadania i dopomaga w nauce dzieciom – myślała Tuśka.

– Zapalamy ową lampę... – uśmiechnęła się – zapalamy niemal co dzień: ja nad francuszczyzną Pity, on nad matematyką chłopców...

Powstała od okna, rada, że znalazła jakieś wyjście z koła, w którym niespodziewanie błądzić zaczęła.

– I po co to pisać... młodzieży podsuwać myśli, że jest nie zrozumiana? Takie artykuły oddają najgorszą przysługę rodzicom. Nic więcej.

Przechyliła się przez okno, aby je zamknąć. Z dołu coraz silniej wiała pleśń grobowa zastygającego powoli życia.

– Malaryczne miasto! – wstrząsnęła się Tuśka.

Lecz równocześnie z owym odczuciem dreszczu, czającej się zgniłej febry, coś niepojętego, a zarazem nader silnego, uczepliło się jej ramion.

Była to zgniła, cieplarniana atmosfera utajonej i grzecznością pokrytej niepewności, jaka moralnie owiewała ją, ile razy w Warszawie powracała do „domu” z zamiejskiej wycieczki.

Uczuła, że nigdy nie pojmie obecnego stanu duszy tego miasta, nad którym z czerpakami na rozpiętych skrzydłach czekało odziane w czerń – jego Przeznaczenie.

– A zresztą... po co? – pomyślała zamykając okno.

Podeszła do stołu i zaczęła przyglądać się kupionym aplikacjom.

Zmartwiła się, że przy świetle gorzej wyglądają niż we dnie.

– Znów mnie oszukali – pomyślała ze złością.

Manią jej była ta myśl, że ją wszyscy okradają i oszukują w haniebny sposób.

Nagle zastanowiła się.

W sąsiednim numerze mówiono głośno, coraz głośniej, nie troszcząc się, iż drzwi, ironicznie zastawione komodą, całe podziurawione są jak rzeszoto; przez te dziury i szpary filtrowały wyrazy z dokładnością zupełną.

Odzywały się dwa głosy – męski i kobiecy.

Ten ostatni dominował, podkreślany charakterystycznym podciąganiem nosa – forpoczta płaczu.

Zresztą było to nawet dość tragiczne, tym tragiczniejsze, że głos męski nie tracił ani na chwilę swobody i raz przyjętego tonu.

Zdawało się, że to ktoś, wybornie władający lejcami, z wysokiego kozła prowadzi dobrze sprzęgniętą czwórkę i ciągle jednaką linią drogi raz wytkniętej jedzie, jedzie bez chwili utraty równowagi.

Tak brzmiał głos męski, spokojny, pewny siebie, młody, łamiący się jeszcze niskimi tony, to tenorowym brzmieniem.

Lecz były to tylko oznaki zewnętrzne, bo tak jak głos i cały charakter był dobrze ustawiony i niełamlivy wewnętrznie.

Natomiast głos kobiecy rozwiewał się i był niepewny. Ni to pokorny, ni to ostry, ale cały przepojony na wskroś kobiecością. Szamotało się to, otłukało po ścianach hotelowego numerku, cichło, pełzło, próbowało grozić, a w gruncie rzeczy miało w sobie tragizm bezbronności powszedniej, podniesionej właśnie tą powszedniością do rozmiarów bólu i katastrofy.

– No, tak... ale cóż będzie z dzieckiem? – pytał głos kobiecy.

– Co ma być?... będą z niej ludzie... – odpowiada głos męski.

Zalega milczenie.

– Ona się często pyta o tatusia. Nie wiem, co jej odpowiedzieć.

– Powiedz jej, że tatuś pojechał do Ameryki po posag dla niej.

– Ach, nie... tak nie można. Ona taka rozumna, taka sprytna.

– No... cóż dziwnego!

Parsknięcie śmiechem.

– Moja córka!

I długie milczenie. Ostatnie tramwaje na Rynku wpadają w tę ciszę swym przeraźliwym, szatańskim gwizdem.

– Nie chciałbyś jej zobaczyć? – pyta bojaźliwie kobieta.

– Ależ owszem, kiedyś chętnie przyjadę.

– Och! mówisz już tak trzy lata.

– No, to trudno, nie jestem panem swej woli. Nie trzeba było stąd wyjeżdżać.

– Jakżeż nie miałam wyjechać? Musiałam!

– E!...

– Sam mnie namawiałeś. Przyrzekałeś, że przyjedziesz na sezon, na ślub...

– Tylko, proszę cię, nie zaczynaj tej kwestii. Chyba chcesz, żebym zaraz uciekł...

Głos kobiety nie mięknie, stawia się trochę hardo.

– Tak, ja wiem... ty zaraz uciekasz. To najwygodniej.

– Proszę cię, jestem zdenerwowany.

– A ja!...

– Ty? czym? wiedzie ci się dobrze, wyglądasz wybornie, utyłas, podobno do dziecka masz guwernantkę francuską.

– A ty się nie pytasz, skąd mam na to wszystko?

– Co mnie do tego, moja droga. Znasz mnie i wiesz, że jestem dyskretny!

Aż huczy od tej dyskrecji i wygodnej polityki naokoło płacznego głosu kobiety.

– Dyskretny!...

– Spodziewam się. Inny na moim miejscu nie mówiłby z tobą, odwrócił się, a ja zawsze przychodzę, ile razy mnie wezwiesz. Czy masz mi co do zarzucenia? No... powiedz!... no... no...

Przez zęby zaciśnięte pada:

– Dyskretny!...

I zaraz uderzenie pięścią, drobną pięścią w stół i wyplute raczej niż wypowiedziane:

– Podły!...

– O! o!... nie wiem, kto z nas dwojga. Czy ty, która w tej chwili ciskasz się jak przekupka, czy ja, który mimo wszystko podaję ci jeszcze rękę i staram się nie zapominać, że jesteś matką naszego dziecka.

Wypowiedziane to było wszystko równo, bez uniesienia, pomimo owego „zdenerwowania”, o którym była poprzednio mowa.

Kobieta znów uparcie powtarza:

– Dyskretny!...

I wybuchła silnym, zawodzącym płaczem.

W Tuście budzi się przeogromna solidarność kobieca.

W jednej chwili i ściśle kobiecą intuicją odgaduje całość i linię tej „historii”, ogromnie zwyczajnej i ogromnie przez to smutnej.

Pomimo mieszczańskiej moralności, jaką jest opancerzona, czuje, że tamta, przez drzwi łkająca kobieta, jest w prawie roztaczać taką głośną rozpacz i manifestować wielkość swego bólu. Nie ma bowiem w tym jęku nic bezwstydnego ani narzucającego się, jest tylko łkanie człowieka, przed którym bezlitośnie objawiło się jego przeznaczenie, idące naprzeciw niego z narzędziami męki w wyciągniętych dłoniach.

Lecz Tuśka nie odczuwa jeszcze, iż tak być musiało i że ta kobieta łka teraz i tarza w bólu swą głowę o twarde poduszki hotelowego łóżka, a duszę w całym polu cieni okwitłych krwią jej złudzeń, dlatego że jeden łańcuch faktów wziął początek przed wiekami w tym kierunku i zajął ją w swe ogniwa, ją i jej łzy.

Tuśka do tego punktu patrzenia na objawy życia przez zaczątki nie doszła, bierze sam objaw i w niego się wkurza gwałtownym impetem swej wiecznie trzymanej na uwięzi natury.

– Dlaczego ona tylko płacze? – myśli wzburzona. – Dlaczego ona nie powie mu więcej, więcej nad to „podły”, bo przecież to „więcej” aż się samo na usta prosi?

A może wyszedł, może uciekł, tak jak to bywa „najwygodniej”.

Nie, jest. Chodzi teraz po pokoju, chodzi pewnym, równym krokiem. Nie mówi jednak nic. Zapewne ma minę zrezygnowaną i znosi ten płacz z cierpliwością i wspaniałością dyskretną.

Tuśka nigdy nie stanęła tak bezwzględnie z objawami zwyczajnego życia.

Prosto z domu rodziców weszła pod dach męża. Czytała wiele. Ale w książce to pewna ilość czarnych literek mówi „kobieta płakała” i to wszystko.

W życiu taka gama szlochania to sam przez się cały poemat bólu, cała synteza odczucia, poszarpania życia i stoczenia się na dno przepastnej czerni, na którym już się nie klnie swej doli, nie gryzie rąk załamanych, nie targa się tak zwanego sumienia, aby z niego na pociechę wytrząsnąć choćby kilka kropli krwawej własnej winy...

Teraz niemniej Tuśka wiedziała, że są takie bole. Nie czuła ich, nie rozumiała ich ogromu, ale o istnieniu ich miała zupełną świadomość. Nagle to widowisko przeczuwane znalazło się w pobliżu niej z całą potęgą i siłą. Nie wiedziała, jak je przyjąć i ile włożyć z siebie w to, co się dokoła niej rozsnuwać zaczęło.

Rzuciła się całą nerwami i duszą w tę głąb, tracąc miarę i bezstronność widza.

– Dlaczego mu nie powie, że go nienawidzi, że nim gardzi za tę dyskrecję, którą on się tak pyszni. Wszakże to jasne, że ktoś inny wychowuje i łoży na jego dziecko. I on to przyjmuje... bo choć nie bezpośrednio, ale zawsze przecież, skoro to jego dziecko...

Nagle przystanął i dał się słyszeć jego głos:

– A masz papierosy?...

Tuśka wstrzymała oddech.

– Co ona mu odpowie? Porwie się jak lwica, może mu do gardła skoczy, że on nie potrafi nawet uszanować tej jej bolesnej chwili, w której duch w łkaniach się rozłamuje i siatką nad ciałem się rozpina.

Lecz cisza zupełna.

Tylko po chwili – woń papierosa dobywa się przez szczeliny.

Musiała mu gestem wskazać, gdzie były papierosy. Zapalił, a teraz chodzi znów lekko, skrzypiąc nowymi prawdopodobnie butami.

Łkania kobiety przycichają z wolna.

Tuśka siada, przytulona do rogu kanapy, i słucha.

Równocześnie wyobraża sobie i ją, i jego, tak dawniej sobie bliskich, tak bardzo bliskich.

A i to trzecie pomiędzy nimi, ta mała dziewczynka, pielęgnowana przez francuską guwernantkę i żywiona kosztem kogoś nieznanego...

To dziwne być musi uczucie, straszne i pełne grozy, kazać żywić dziecko cudze...

To musi być pełne grozy i wielkiego wstrętu do samej siebie w czasie takich bezsennych, długich nocy.

Taki płacz wtedy musi chwytać za gardło, jak ten, który dogorywa tam, za drzwiami w sąsiednim numerze.

Lecz jeśli się ma przed sobą tego, który jest sprawcą tej pełnej grozy sytuacji, gdy mu można wypluć w oczy całą prawdę i spalić serce łzami...

Wtedy się to wszystko mówi, wtedy się to wszystko rzuca prosto w twarz tak szczelnie oblepioną maską obojętności i „niebrania nic na serio...”

Tuśka czeka, co będzie dalej. Zdaje się, że czyta jakąś powieść, że za chwilę odwróci

kartę i rozpocznie się rozdział, pełen siły i namiętnej nienawiści, że ta kobieta będzie tą zbiorową kobietą, powstając z całym majestatem przeciw majestatowi siły obojętności mężczyzny. Dyszy tam od tej końcowej walki dwóch płci, tej jedności rozerwanej i żadnej połączenia.

Od *Pomyłek* aż drży i jęczy w przestworzu. Błądzą i mylą się ciągle w poszukiwaniu jedności. W spotkaniach i próbach powstają nowe życia, lecz najczęściej to nieharmonijne właśnie zlanie się dwóch istot w trzecią *jedną*, to ten dysonans, ta walka, to rwanie się i ujadanie, rozpaczliwie uwięzione w nowej, nieszczęsnej istocie...

Tam daleko, w Łodzi, mała dziewczynka, zgrabniuchna figurka o zdziwionych i trochę mętnych źrenicach i o silnie rozwiniętej inteligencji nie oczekiwanych na klombie ustaw społecznych kwiatów...

Tak, tak, taka mała dziewczynka.

Pani Tuśka cała aż zastygła w oczekiwaniu katastrofy. Życzy sobie, by tamta kobieta miała siłę wielką, miała i swoją siłę, i jej, Tuśki, siłę odwetu choćby słownego. Zdaje się jej, że to właśnie jest doskonały moment, jedyna chwila, w której może być mowa o całej, pełnej nienawiści, nieprawości podobnego postąpienia.

Tuśka ma w sobie w tej chwili chęć i siłę świeżą, bo nigdy nie potrzebowała zużywać jej w tym kierunku. Jej zatargi ciche z mężem były zupełnie innej natury. Nie było w nich nic ogólnoludzkiego ani tego tajemniczego i groźnego, jakie drży tam, przez ścianę.

Więc...

Łkanie prawie zupełnie cichnie.

Słychać tylko jęk słaby – ot, jakby postrzelone zwierzę skarżyło się gdzieś w głębi lasu.

– Czemu ona płacze? czemu nie mówi?

Lecz teraz słychać kroki mężczyzny ciche i układne.

– Kiciątko!... – mówi mężczyzna – niech kiciątko nie płacze.

Przez Tuškę przebiega mróz od tych kilku słów.

Taki słodki, miły głos. Takie proste słowa i to „kiciątko” nigdy nie słyszane. Zupełnie jakby ktoś aksamitną łapką gładził, pieścił, tulił.

*

– Kiciątko!...

– Och, ty!... ty!...

I potem prawie szeptem jeszcze wśród łkania:

– Mój! mój!...

– Jak? co?

Więc nic. Żadnych wyrzutów? Żadnej siły? Żadnego majestatu? Żadnych wrogów naprzeciw siebie, ziejących wieczystą nienawiścią i męką?

Takie marne słowo wzniecające dreszcze, jedno „kiciątko” i zaraz zarzucanie na szyję ręk, przemoczonych łzami, przytulenie twarzy, jeszcze gorącej i nabrzmiałej od tarzania się po rozrzuconych dokoła włosach.

I to wszystko dla jednego słowa.

– Tak – ale jakie to! jakie!

Wszystko jedno! ona nie powinna była, nie powinna.

Tak myśli Tuśka, tak *chce* myśleć Tuśka, bo w gruncie rzeczy druga jej warstwa myśli coś zupełnie innego, myśli owym dreszczem, a raczej odczuciem owego dreszczu, jaki przejął ją, gdy słyszała to proste, a tak aksamitne słowo: „kiciątko”.

Tymczasem tam, przeze drzwi, aż się rozszemrało od pocałunków i dobrych słów.
– Więc – mój! dlaczegoś o mnie zapomniał? – pocałuj!... jak dawniej... pamiętasz? – zwłaszcza to „pamiętasz”.

To ona!

A on?

Niewiele słów, lecz ręce zarzucił na jej szyję, włosy gładzi i mówi:

– Kiciątko... a złe, a ładne zawsze...

W Tuście coś się aż kłębi, aż unosi od sprzecznych uczuć. Za gardło ją chwyta niby rozrzewnienie nieokreślone, którego zanalizować nie umie, jakiś żal, złość, pogarda dla siebie, dla tamtej przebaczącej, dla kobiet w ogóle. Przebacza, siania się w ramiona. Och! głupia! nędzna!

Takiego pozoru chwyta się Tuśka, ażeby pokryć nim wzruszenie, dreszcz, żal i to coś, jakby zazdrość czegoś nieznanego, a przecież pełnego okrytej dla niej brylantową zasłoną strony życiowej.

Więc porywa się i przez chwilę traci prawie przytomność z podniecającego ją uczucia gniewu.

– Nędzna, przebaczyła!...

Do dzwonka się rzuca i przyciska guzik.

Tak, tak, to bezwstyd takie przebaczenie, ta kobieta ma, na co zasłużyła. Dobrze zrobił, że ją opuścił.

Wchodzi pokojowa, ta sama, która straciła szacunek dla Tuśki, za to, że Tuśka przynosi w papierze szynkę do hotelu.

Tuśka pragnie zrehabilitować się w oczach tej dziewczyny.

– Proszę iść do tamtego numeru i powiedzieć tym państwu, żeby się inaczej zachowywali. Nie jestem przyzwyczajona znosić coś podobnego!

Dziewczyna patrzy szeroko rozwartymi oczami na wzburzoną twarz Tuśki.

– Proszę pani...

– Proszę iść...

– Dobrze, proszę jaśnie pani!

Rozkazujący gest, wspaniała mina naprawiły to, co zepsuło pół funta szynki. Dziewczyna wysunęła się cicho i za chwilę słychać było, jak szeptem coś przekładała w sąsiednim pokoju, tłumaczyła „tym państwu”...

Rozległ się szczery, serdeczny wybuch śmiechu i równocześnie pokorne prawie tłumaczenie się kobiety:

– Ale cóż znowu? Ta pani zwariowała?... My przecież nie robimy nic złego!...

Tuśka drżała teraz jak w febrze i chodziła gorączkowo po pokoju, potrącając meble.

Nienawidziła i siebie, i ich, tych dwoje, którym czuła, że wyrządza krzywdę, obelgę, że policzkuje tamtą kobietę niesłusznie, bo przecież była w prawie przebaczyć, gdy chciała.

Mężczyzna zdecydował nagle.

– Chodźmy stąd. I tak chciałem coś zjeść. Przejdziemy się.

– Dobrze, chodźmy. To jakaś zła kobieta ta pani!

Wychodzą.

Zła kobieta.

Teraz kolej na Tuśkę znieść tę obelgę, ten policzek, zadany słowem kobiety jej duchowej istocie.

Gdzieś niegdyś czytała, że najpierwszym obowiązkiem kobiety jest... być dobrą.

A ona była złą.

Na próżno pragnie utwierdzić się w przekonaniu, że postąpiła słusznie, moralnie, etycznie. Nie chciała słuchać szmeru pieszczot i pocałunków – ona, kobieta moralna

i nieposzlakowana. Przy tym te pieszczoty były z jednej strony wyłudzone podstępem i obłudą, z drugiej strony dozwolone głupią słabością i brakiem godności własnej. Były więc zupełnie karygodne i zasługiwały na wypędzenie z ciepłego kręgu, w którym przebywają ludzie uczciwi.

Obowiązkiem kobiety być dobrą.

Powoli zapadała dokoła Tuśki cisza. Tramwaje przestały rozdzierać powietrze gwizdem. Martwe miasto układało się coraz sennie, coraz wygodniej w swojej martwocie.

I dusza jego kamieniała, zda się, dźwigając teraz coraz wyżej, i rozpościerała przeogromne skrzydła, ciężkie, nabite królewskimi klejnoty i żałobą pajęczyn, rozsnutych wśród milczących sarkofagów.

Tuśka przestała chodzić i przytuliła się do ściany, szarzejąc w swej podróżnej sukni na tle żółtego obicia.

Świeca dogasała w lichtarzu, rzucając poszarpane błyski.

Przez twarz Tuśki, jak przez chmurę, przewijały się rozjaśnienia dziwne, nieuchwytne, to znów zapadała na nią jakby maska popiołu, starzejąca ją nagle w jednej chwili.

Coś w niej migąło, walczyło, było niepewne, nie wiedziało, jak sobie poradzić z tymi nowymi przejawami życiowych starć i łapek, dobrowolnych układów, które bodaj czy nie są treścią owych nie dopowiedzianych, a podstawowych potęg, stanowiących istotę ludzkiego istnienia.

Tylko na to trzeba sił ogromnych i cofnięcia się wstecz, poza to wszystko, co takim wałem nieprzebytym wzniosło się dokoła nas wszystkich!

Złą była kobietą przed chwilą. Czowała to i rozumiała dobrze. Nie miała w sobie białej i jasnej wyrozumiałości dobrej wróżki, snującej dobroczynne promienie rąk nad chwilami, które osuszają łzy i w ciemnie smutku świetlane promienie wprowadzają. Kazała zejść tej kobiecie w pogardzie spojrzeń służby hotelowej, a uczyniła to prawie bezprzytomnie, pod wpływem ni to szaleństwa wzgardy, ni to gniewu, ni to zawiści. Dlaczego to uczyniła – nie wie sama.

Co oni jej szkodzili, ci dwoje za ścianą, osuszający łzy pocałunkami, a zwłaszcza ta nędzna kobieta, rozsłochana i taka podatna do przyjęcia jałmużny pieszczoty i dobrego słowa.

Była to chwilowa ułuda szczęścia cichego, wtulenie się w zamknięte ściany, granice świata w zaciśniętych na szyi ramionach...

Ona to wszystko zniszczyła, rozeгнаła jedną myślą pyszną i nieukróconą. To nawet, co mogło być piękne, to wielkie przebaczenie bezgranicznej kobiecej dobroci zbecześciła brzydką, podejrzliwą myślą banalnej hotelowej awantury.

Uczuła to w głębi duszy jak cierń, jak kolce.

Wstyd ją ogarnął kobiecy.

Może podsunęła im myśl, której nawet nie mieli.

Doznała ulgi na myśl, że na dole, na tablicy, nie kazała pisać swego nazwiska. Miała bowiem w Krakowie daleką rodzinę męża, rodzinę ubogą, taką, do której w ogóle się nie przyznaje, bo odzież wytarta i maniery fatalne, więc wyraźnie zapowiedziała, ażeby nie umieszczono jej nazwiska w spisie gości.

– Nie dowiedzą się, jak się nazywam! – pomyślała prawie z radością.

Lecz zaraz chciała sobie przyznać rację, bo uparta była i pyszna nawet wobec siebie samej.

– Musiałam to zrobić – musiałam, choćby przez wzgląd na Pitę...

Uszczęśliwiona, że znalazła pretekst, spojrzała na łóżko, na którym leżała mała.

Dziecko miało oczy szeroko otwarte, lecz leżało nieruchome jak woskowa laleczka.

– Dawno się obudziłaś? – zapytała Tuśka.

– Niedawno, mamusiu!

Tuśka chciała zapytać córkę, czy słyszała cokolwiek z tego, co zaszło, lecz wiedziała, że dziecko wyśliznie się jej grzecznie i nie powie prawdy.

– Śpij, proszę cię. Już późno.

– Dobrze, mamusiu!

Pita natychmiast zamknęła oczy i długie, jasne rzęsy zapadły na śliczne szafirowe oczy.

Lecz wyraz twarzy dziecka, zwłaszcza kąci jej bladych ustek kryły w sobie jakiś zagadkowy, tajemniczy wyraz, który zniknąć nie chciał.

I Tuśka przed tym sfinksowym uśmiechem córki czuła się bezsilną, zmrożoną, bo tam był jakiś sąd, coś instynktem kierowanego, coś kiełkującego, z czego ani to anielskie dziecko, ani ona sama zdać sobie sprawy nie były w stanie.

III

Dziesięć dni są tak same naprzeciw siebie w tej zakopiańskiej chałupie, pełnej nieokreślonej woni rannych smreków i wilgotnego gruzu.

Matka i córka błędzą wśród czterech ścian po japońsku złożonego pudełka, zastawionego sprzętami pościaganymi z żydowskiej tandety.

Na głównej ścianie rozległ się ciemnoceglastym cielskim szezlong, „kanapa”, według słów wzdychającej gaździny, i ten szezlong jest już całym poematem nędzy miejskiej, zakurzonej i brudnej.

Dokoła niego tulą się zydle i stół przystrojony nacięciami, mającymi przedstawiać „zdobnictwo ludowe”.

Łóżka żelazne, materace za krótkie lub za szerokie, na nich kołdry miejskie Tuśki i Pity, ich poduszki haftowane, obsypane z lekka złotem perskiego proszku. [perski proszek: środek owadobójczy]

W oknach pokrochmalone firanki rozwłóczą dzień dziwny, specjalny, mokry dzień górski, który się rozłazi jak wilgotny krab, wyciągający daleko swe macki, z których cieknie szara, ciągnąca się ciecz deszczowa.

W piecu zielonym o kaflach lśniących, piecu dostatnim, brzuchatym, stanowiącym dumę słuszną i przedmiot wyzysku ze strony wynajmujących gazdów, tli się kilka mokrych szczapek.

Syczą, piszczą, plują, gniewają się na te płomyczki nieśmiałe, które do nich doskakują, chwytają, chcą objąć, zniszczyć i nie potrafią.

Przed piecem, owinięta pledem, siedzi Tuśka. Koło okna, owinięta pledem, siedzi Pita. Obie jednak wyciągnęły nogi, obie jednak ukryły podbródki w fałdy pledów.

Tuśka patrzy z pogardą na ten nędzny ogień, nie mogący zwalczyć paru gałązek sośniny.

Pita patrzy z podziwem na smugi deszczowe, zwalczające wszystko.

Zaciekłość, wściekła nienawiść, pęd jakiś dziki, nieukrócony, chęć zagłady, zniszczenia tego mrowiska, tych ciał ludzkich, pozbawionych już sierści i tulących się w sierść innych zwierząt, to pragnienie przemoczenia zgniłego na wskroś istoty ludzi, drzew, ziemi, rzeczy, rozmoczenia duszy zbiorowej tych objawów życia, rozszalało się w tej ulewie, wyjącej chromatyczną gamą w obramowaniu gór przechodzących w stan legendy.

Gór tych nie ma, znikły jakby okryte rozsnutymi włosami jakichś wampirzyc, które suszą w ten sposób swe włosy, suszą, wyzymają bezlitośnie, chichocąc wichrem, łomocąc piętami po twardych dachach zakopiańskich chałup.

Tuśka nigdy jeszcze nie była tak długo odosobniona i pozostawiona sobie i własnym resansom, jakie każdy ma w duszy. [resursy: środki, zasoby; sposoby]

Już po raz tysięczny może przetrwała swe istnienie, układ, jaki zrobiło z nią życie, charakter tych, którzy jej istnienie sprzęgli ze swoim. Siebie tylko samej nie bada, nie wsłuchuje się w nic swego, bo nie wie, jak się do tego zabrać. I tamtych innych nie sądzi głębokością, odpowiednią do ich bólów lub chwil zadumy.

Przedstawia ich sobie w fazie spokoju i równowagi. Stąd ma wrażenie, że wszystko dokoła niej było w życiu w porządku dla innych i że nic nie wykraczało poza ramy ściśle określonego rozumnego postępowania.

Ten „rozum”, zdawało się Tuśce, że jest jej zasługą i że to ona swoim taktem daje nutę dominującą całemu otoczeniu.

Nigdy tak nie odczuwała tego, jak obecnie, gdy oddaliła się od owego „wnętrza” przy ulicy Wareckiej.

Dawniej zdawało się jej, że ów rozumny ton domu wypływa z układu faktów, które, piętrząc się, utworzyły ich wspólne życie. Obecnie starała się doszukać przyczyny i od razu tę

przyczynę ujrzała, i uświęciła siebie, nie badając, czy rzeczywiście miała na to dość siły, a jeśli ją miała, skąd siła ta pochodziła właśnie.

Spojrzała na córkę i utwierdziła się w tym przekonaniu. To grzeczne dziecko, patrzące tak spokojnie w okno, było bezwarunkowo „rozumne”. Pita siedziała jak dorosła kobieta, prościuchna, milutka, złożywszy nóżki w śliczną linię, tak jak siadają baletniczki w chwilach odpoczynku. Siedziała tak całymi dniami, nie męcząc matki, nie pytając o nic, wpatrzona w rozmokły przed oknami las maluchnych świerków, wystarczająca sobie czy udająca doskonale to wystarczanie.

W każdym razie rozumna.

Tuśka powróciła znów wzrokiem do nędznego ognika, który powoli przygaszał zupełnie we wnętrzu pieca.

Jeśli wszystko było „rozumne” w jej życiu, to były przecież te drobiazgi, te kwestie pieniężne, które nie szły tak, jak ona sobie życzyła. Wprawdzie nigdy nie było owych śmiesznych walk, owych „potrzebuję, musisz mi dać więcej”, bo na tym byłaby ucierpiała atmosfera wysokiej uprzejmości, w jakiej się pławiono, ale braki przykre, pokrywane sztucznymi wysiłkami, dławiły nieraz Tuśkę i przeszywały ją na wskroś wielkim uczuciem gniewu.

– Ożenił się, niech ma na dzieci i na żonę.

Z tej zasady wychodziła Tuśka i z niej powstawały te ukrywane płomienie gniewne, gdy musiała zgodzić się, że na coś jej nie stać.

I teraz chwilami doznaje takiej błyskawicy, przejmującej ją po prostu fizycznym bólem. Mąż dał jej mało pieniędzy na owo Zakopane. I dlatego nie mogła zajechać do żadnego z zakładów ani pensjonatów. Tam bawią się w takie dżdżyste dni. Ona musiała wynająć pokój w małym domku i teraz siedzi odosobniona, odcięta od ludzi, w jednym pokoju z Pitą, jakby uwięziona.

Lekarz w Warszawie mówił: „Niech się pani rozrywa, niech pani stara się być wesołą, to i apetyt wróci, siły się znajdą...”

Choćby przez wzgląd na jej zdrowie mógł się ostatecznie postarać o więcej pieniędzy.

Połowę pieniędzy mieli uskładane, drugą dopóczył. Skoro już pożyczzał, mógł wziąć więcej; byłoby się spłaciło ratami czy jak tam.

Mówił, że mu ciężko przyszło, ale nie powinien był i tego mówić, bo to było niedelikatnością z jego strony, i ona ukarała go w ten sposób, że spojrzała na niego chłodno i powiedziała:

– Przepraszam cię... ale muszę zwrócić ci uwagę, iż jesteś niedelikatny...

Przeprosił ją zaraz, tylko coś, jakby ironia, zaigrało mu naokoło ust.

Udała jednak, że tego nie widzi, i aby poprzeć swą wyższość, rozkaszała się dyskretnie i wyszła z pokoju.

W ten rozumny sposób załatwiała najczęściej kwestie finansowe. Poza tym jednak to powściągnięcie się, to trzymanie na uwięzi pewnej dozy temperamentu, jaki posiadać musiała, kosztowało ją trochę nerwów i zdrowia. Nagromadzone razem te wysiłki rzeczywiście podkopały trochę jej organizm, wstrząśnięty dwukrotnym płucnym zapaleniem. Mogła śmiało liczyć się do „chorych”, choć wyglądała świeżo i zdrowo. Pielęgnowała jednak dość troskliwie swą cerę i figurkę zgrabnej warszawianki i głównie tej staranności zawdzięczała ten dobry wygląd. Rano była żółta i miała oczy podkrążone, a usta spalone. Sypiała źle, zrywała się i doznawała ciągłego uczucia niepokoju, a ta uprzejma spokojność jej ruchów zaczynała ją kosztować dużo wysiłku.

Chwilami zdawało się jej, że dusi się, wychodziła na balkon, piła wodę i powracała do normalnego stanu.

Lecz znów przychodził jakiś okres niepokoju, duszności, zdenerwowania i wtedy musiała przyzywać na pomoc cały „rozsądek”, aby nie wydać się z istotnym stanem swego

zdrowia. Bo kładła te wszystkie objawy na karb fizycznego niedomagania. Niczego więcej.

Zresztą miała już trzydzieści trzy lata i chwilami myślała, że to wszystko są oznaki zbliżającej się starości.

– Starzeję się... – myślała z dziwną i bolesną goryczą.

I cóż? To kolej rzeczy nieuniknionych. Tylko trzeba umieć starzeć się z godnością i rozumem.

Deszcz lał ciągle z jednaką siłą i teraz już potokami spływał po szybach, bo bił ukośnymi strugami i rozpląszczał się na szkle jakby tłuszczem przepojony. Ani to znać było, iż przyszło południe i nad górami się rozsnuło. Pokorne były i żadne wobec tej nawałnicy, trwającej już dnie całe. Z dachu płynęły strumienie i zdawały się żłobić doły w rozmokłej rudawej ziemi. Jeden taki strumień bił w ułożony z kamieni koło progu stopień i znalazłszy otwór wytryskiwał w górę z zaciekłością rozplutego i rozwścieczonego zwierzęcia. Pod dachem tuliły się wróble ćwierkając cichutko. Jakaś spłoszona kawka darła się przez chwilę i znikła w szarej pluchocie.

Tuśka powstała od pieca i podeszła do okna. Równocześnie prawie cichutko Pita powstała od okna i jak cień posunęła w stronę pieca. Zamieniły się na krzesła i utkwiliły źrenice w inne przedmioty, lecz nie zamieniły z sobą ani jednej myśli.

Nie czuły potrzeby.

Tuśka usiadła na krześle, które przed chwilą zajmowała córka, i zupełnie tą samą, co i dziecko, linią wyciągnęła przed siebie nogi, obute w popielate buciki. Zmieniła pozę i miejsce, lecz te same myśli powlokły się za nią.

Ciągle przeżuwała swe dotychczasowe życie. Ciągle błądziła po mieszkaniu na Wareckiej ulicy. Nie dlatego, żeby tęskniła za pozostawioną tam rodziną, lecz z przyzwyczajenia i nałogu. Ona nigdy nie badała się, czy kocha swe dzieci, a zwłaszcza, jak je kocha. Wiedziała, że to jej obowiązek, a to, co było obowiązkiem, rozum jej każe wypełniać. A więc tak, naturalnie, kochała te grzeczne i miłe istoty, które były ładnie ułożone same przez się, uczyły się dobrze, nie chorowały i nie zabierały dużo miejsca. Wie, że już nie ma ich na Wareckiej, że są na wsi, że im jest dobrze, dlaczego ma się o nie troszczyć?

Błądzi jednak znów po swoim mieszkaniu. Nudzi ją to i męczy.

Dudnienie bosych nóg w sieni.

Sapanie, macanie klamki i wreszcie wpadnięcie zlanej deszczem gałdżiny z menażkami.

– Dobrze południe!

Od pieca senny i zdziwiony wzrok Pity pada na tę góralkę z rozchamraną na piersiach koszulą, w serdaku o wywróconym włosie, z chustką żółtą, spraną deszczem na kosmykach włosów czarnych jak hebany.

A dla kontrastu z tą czernią i gęstwą włosów młodych i zdrowych – twarz dzika, na wpół zwiędła, bez wieku, podobna do zbłoconego jesiennego liścia, białego w ziemię bezlitośnie, a potem wicherą wydartego z błota i rzuconego o mroźnym wieczorze w przestrzeń bezdrożną.

Ta kobieta nie ma oznaczonych lat. Starcze bruzdy twarz ryją, oczy iskrzą się temperamentem młodości.

Pod serdakiem pierś zwiędła, a nogi jak młodej kozicy, co po reglach skacze.

Przypadła do stołu, uderzyła w niego menażkami, rzuciła talerze, widelce, łyżki, noże... Pokazała rząd białych, czystych zębów.

– Psota? – ha?... – wyrzekła, ocierając szerokie ręce o fartuch.

Pita patrzyła ciągle na gałdżinę jak na ciekawy okaz lub ilustrację w jakimś dzienniku. Góralka wzrok dziewczyny podchwyciła.

– Cni się wam?

Pita z przyzwyczajenia uśmiechnęła się, choć nic nie rozumiała.

– Nie banujcie, bo się osbiere. Pan Jezus da, że się osbiere!

Uśmiezek uprzejmy Pity przechodzi w ironię.

– Pojedźcie se, to się wam tak cnić nie będzie. Chmury uciekną żyćkie i będziecie wartko latali po ulicy, kielko sami zekcecie!...

Tuśka podeszła do stołu i porządkowała nakrycie.

– Moja gaździno, a to wasz dom będzie tak cały stał pustką? – spytała.

– Nie... – odparła góralka – do tej izby naprzeciw przyjedzie jeden pan niepłony. On już trzeci rok do nas przyjeżdża. Miał już być, ale cosi kansi się stało i ni ma go do dzisiok. Ale przyjedzie.

Pita i Tuśka siedziały już za stołem i matka dostrzegła, że dziecko, zamiast jeść, pilnie obserwuje góralkę, uśmiechając się ironicznie.

– Pito, proszę cię, jedz zupę! – wyrzekła, o ile możliwości najrozumniejszym tonem.

– Panienska nie rozdęta, to się i bele cem nażre... – tłumaczy gaździna.

Podchodzi do pieca, obciera z lubością kafle mokrym fartuchem, a potem patrzy z dumą na „kanapę”, którą nabyła umyślnie, aby móc podwyższyć czynsz od „sezonu”.

– Pikna kanapka? co?... – pyta żądając przyświadczenia.

– Chciałam was prosić, żebyście ją wynieśli – odpowiada Tuśka.

Oczy gaździny mało nie wyskoczą z orbitów.

– Locego?

– Bo ją czuć sianem.

Gaździna widocznie uczuła się dotknięta.

– Pikna kanapka – powtórzyła – ale jak jej nie chcom, to jom damy panu, co przyjedzie wnetki.

Po chwili znów z lubością zaczęła piec ścierać fartuchem.

– Pikny piec... – zamamrotała.

– Cóż, kiedy się w nim nie chce palić – odrzuciła Tuśka.

– O!... co też ta gadajom... takie tafle śklące, to je pikny piec. Dałak za niego dużo pieniędzy.

– Może... ale patrzcie, co tu dymu...

– E!... bo co wam powiem... to bez te kawcyska.

– Jak to?

– Ano... nie słysom, jak się to dreją?

– Ach!... to kawki.

– No, ale kawcyska. Do komina się napcha i tam się tak wędzi...

Tuśka wsłuchiwała się w ten ochrypy głos z jakąś nieokreśloną przyjemnością. Skrzypiało to, świszcząco, czasem jęknęło. Wolała słuchać niż patrzeć na tę gaździnę, bo twarz płaska i jakby rozgnieciona zdawała się nie mieć w sobie ani jednej iskiereki łagodności. Nic kobiecego. Coś surowego, kanciastego jak cały styl chaty, jak te belki, obciosane silnymi uderzeniami siekiery.

Natomiast w głosie coś się łamało, coś tam drgało miękko, zwłaszcza gdy z lubością ta kobieta zwracała się ku swej *własności*, ku temu, co posiadała już siłą wielkiej woli i starań całej przeoranej młodości.

Tuśka i Pita jadły zimne i niesmaczne potrawy, rozmazane na dnie menażek.

Ustępowały sobie wzajemnie lepsze kawalki; ceremoniując się coraz wykwiniej.

– Proszę cię... proszę, moja droga... zrób mi tę przyjemność, dziękuję mamuńci...

Zwyczajem przyjętym, Tuśce zdawało się, iż wypełnia obowiązki dobrej matki, zmuszając dziecko do wlewania w siebie dużej ilości letniej, tłustej wody, nazwanej rosołem, i do usilnego darcia zębami łyka krowiego mięsa, ochrzczonego polędwicą.

– Jedz... proszę cię...
Dziewczyna żuje z widocznym, choć pokrywanym wstrętem szablonową strawę, która ma ją „odżywiać”.
Deszcze leje na dworze z coraz większą zaciekłością.
– Siąpi! – wyrokuje gaździna, która teraz wpadła w ekstazę przed wykrochmalonymi firankami, podpiętymi kawałkami niebieskiego papieru.
– Pikne firanki... – zaczyna.
Lecz Tuśka, która w tej chwili czuje całe mizernictwo otoczenia i owej upragnionej „wiledziatury” – postanawia czymś ubarwić sobie i dziecku to życie.
– Chcesz ciastko z kremem? – zapytuje Pity, odsuwając z niezadowoleniem talerze.
– Dziękuję mamusi!
– Czy tu jest cukiernia?
– Hej, cegok by nie było.
– Może wasz syn by poszedł po ciastka? Dostanie za drogę.
Gaździna parsknęła śmiechem.
– Mój syn? – Adyk on w Hameryce!
– No, a ten młody góral, co nam tu wczoraj pomagał rzeczy rozpakować?
– Jakowy?
– O, mamuniu – zawołała Pita – ot, on idzie do szopy...
Gaździna wyjrzała przez okno, unosząc delikatnie firankę.
– Ten?... dy to... mój...
– No, więc...
– Mój mąż, a nie syn.
Zapanowało chwilowe milczenie.

*

Do szopy poszedł i strząsnąwszy z deszczu kapelusz Józek Obidowski, Chrobakiem nazwany, mąż ślubny Wikty Obidowskiej, wszedł pod wystający daszek na trochę suche miejsce i cały na tle złotych belek zarysował się jak figurka kunsztownie odrobiona.
Proste to było, smukłe, śmigłe, odziane dostatnio, całe białe i młodzieńcze.
Para oczu jak latarnie, włosy ciemne, gęste, rysy dziwnie prostolinijne, usta trochę ironicznie uśmiechnięte.
Zuchwałość dziwna w pozie, w nabieraniu oddechu, w błyskaniu oczyma, świeżość lic kalinna i pieściwa, ręce od bezrobocia dobrowolnego delikatne.
A z tej całości beztroska niemal dziecinna, ta ufność, iż z tej piękności i smukłego ciała zawsze wyłoni się jakiś punkt wyjścia w oparciu życiowym, to płynięcie szczęśliwe bez potrażeń o skały, słowem, młodość bujna, rozwichrzona, wykołysana wiatrami halnymi i bielą kwiatów śniegowych.
Józef Chrobak stoi tak oparty o złociste belki, on – mąż dwudziestoletni przeszło pięćdziesięcioletniej Wikty, i rad jest, że się sprzedał dobrze w małżeństwo, że go „baba głupia” kupiła na męża – jego, który prócz „guńki, porteczek, pasieka i fajcyska” nie miał nic, nic.
Jeno te ślepia jak latarnie albo gwiazdy w nocy świecące, a jako gencjany niebieściutkie, jeno te usta gorące zawsze, jakoby słońce nad turniami, i ta gębusia gładziuska, i ta siła, co to go nosi – hań, hań!... po skałach, po piargu, po żlebach, dźwigając panom z miasta ich serdaki, koniaki, kocielki, ich strachy i zawroty głowy.

*

– Pikny mój mąż? ha? – pyta gaździna niemal tym samym tonem, jakim pytała o piec, o kanapkę, o firanki.

Lecz coś innego jest na dnie tego głosu, coś jakby macierzyńskiego, jakby namiętnego. Lecz to takie drobne, takie nikłe, że ledwo, ledwo wyczuwalne. I to trzeba być inaczej do tego usposobionym i przejść całe wychowanie uczuciowe, inne niż Tuśka, która w tej chwili nie widzi znów nic więcej w Wikcie jak tylko posiadaczkę, chwalać się zdobytą własnością.

– To wasz mąż? – pyta z pewną niewiarą w głosie.

– A haj... Dwa roki, jakeśmy się pobrali... Bezera jest leń, ale pikny.

I po chwili dodaje:

– To je trzeci.

Jest jakiś tryumf w tym obwieszczeniu, coś, co jest prawie okrucieństwem istoty żywej, stojącej silną jeszcze stopą na powierzchni ziemi, kryjącej tych, którzy tej stopy tryumfującej zrzucić już z siebie nie mogą.

Tuśka podeszła także do okna i tak razem z Pitą patrzą na owego „piknego męża”, który już nie napycha fajki „habryką”, ale zza pazuchy wyjął złamanego papierosa, prostuje go i zapala.

Wicher gasi mu zapalki jedną po drugiej, ale on uparcie stara się na tym wietrze zapalić papierosa.

– O!... jak to ćmi papierosa – mówi Wikta – tak się od panów nauczył, jak z nimi po górach lata... Ale się to przewodnictwo skończy. Będzie tyłóś ich widział!

Coś się zagotowało w głębi duszy góralki, bo i pięść wyciągnęła w stronę „piknego męża”.

– Kapelus, cuchę, portki – syćko zamknę, a nie pusczę! – wyrzekła twardo.

– Ależ dlaczego?

Lecz nie było odpowiedzi.

Wikta brwi marszczyła i usta zacinała gniewnie.

– Czemu nie chcecie puszczać męża w góry? – ponowiła pytanie Tuśka, zwracając się prawie natarczywie ku gaździnie.

– Jus ja wim, cemu!... – odparła wreszcie góralka i stąpając ciężko, jakby chciała stopami ze złości przebić deski podłogi, wyszła, unosząc z sobą menażki i talerze, z których dwa zdołała stłuc zaraz za progiem.

IV

– Mamuńciu... czy to to góry?

– Tak!

Po raz pierwszy od chwili przyjazdu Pita zapytała się o coś matki.

Spoza mgieł i pasem deszczowych zarysowały się wreszcie te Giewonty, Hawranie, Gubałówki wraz ze swymi widmami o skamieniałych, a tak rozwiewnych konturach.

Źle widać te dźwigające się masy, ale duchy ich rozsnuwają dżdżyste opary i przebijają się czernią kosodrzewiny, srebrem jakby zastygłych potoków.

Pita zatrzymuje się na środku Nowotarskiej ulicy i patrzy.

Drobna jej dusza, dusza anemicznego, miejskiego dziecka, jakby trwoży się i lęka tego ogromu nieruchomego, tak bliskiego, a przecież niedoścignętego.

Stoi tak śliczna, kształtna, w narzuconym na ramionka żakieciku granatowym; na ustach jej przewija się ciągle ten zagadkowy, ironiczny półuśmieszek małego, a tym więcej tajemniczego sfinksa, i teraz nie pyta już o nic, ani o nazwy tych gór, ani o ich formacje, ani o to, co tak lśni na żlebach, czy to śnieg, czy to srebro, lecz stoi i patrzy.

Tuśka także patrzy, lecz w zupełnie odmienny sposób.

Ogarnia wzrokiem całość i pewne zaciekawienie mieszczeni dominuje nad tym wrażeniem barw lub kształtów.

– Ogromne – myśli – ale po co właściwie ludzie się na to drapią?

Czuje jednak, iż gdyby miała towarzystwo i kostium, może zaryzykowałaby się na taką wyprawę.

– Tylko... cóż... przecież sama z Pitą nie pójde!

I znowu ogarnia ją wielkie znużenie i uczucie nie tęsknoty, ale jakiegoś wysadzenia z siodła.

Była już u lekarza. Opukana, osłuchana, idzie nadziana receptami i przepisami.

Wstąpiła z Pitą do cukierni. Na werandzie, przesiąkniętej od deszczu wilgocią, wysiedziały się, zjadły dużo ciastek i opiwszy się czekoladą.

Trochę gości kręciło się po cukierni, ale żadnego ożywienia nie było.

Armia kelnerów melancholijnie podpieraa ściany.

Ze sklepów wзираły blade i senne twarze „panów kupców”.

– Czy tu tak zawsze? – myślała Tuśka, jedząc trzeci marcepanowy kartofelek, nadziewany powidłami.

– Czy tu tak zawsze? – myślała Pita, jedząc czwarte ciastko tortowe, posmarowane powidłami.

Furki dudniły i trzęsły niemiłosiernie przerażonych tą niespodzianą torturą gości.

Widać było ręce kobiet, uczepione konwulsyjnie drągów, które podskakiwały szarpane jakąś wściekłą mocą.

Na ścianie cukierni powiała czerwona płachta.

– Co to takiego? – spytała Tuśka przechodzącego kelnera.

– To teatr. Jutro grają.

– A!...

Jakaś nadzieja wstąpiła w serce Tuśki. Całe mieszczenostwo przyniosła ze sobą ta czerwona płachta papieru. Teatr – więc wieczór spędzony w atmosferze kinkietów, muzyki, świeżej farby afisza, perfum, woni wędnącego w ręku kwiatu lub rozgrzanych rękawiczek, a potem łatwe zajęcie myśli – myślą innych.

Pita, zapalona zwolenniczka teatru, nie mówi nic, lecz błękitne jej oczy nie opuszczają ani na chwilę jaskrawego afisza.

Z daleka czyta tytuł sztuki i cała dyszy chęcią zobaczenia teatru w Zakopanem. Twarzyczka jej nie zmienia jednak wyrazu, gdy słyszy pytanie matki:

– A gdzież można dostać bilety?

W duszach tych dwóch kobiet, dorosłej i podrastającej, zachichotał wampir miejski, gnieźdzący się wśród murów i zaułków ulic.

Rozjęczał się, rozegrał, rozturkotał, zionął ciasnotą, zdenerwowaniem i wieczystym napięciem wyobraźni naokół, a weranda cukierni, stłoczone kamienice, zasłaniające przestwór i sylwetki gór, dopomagały mu z całą mocą.

I gdy później obie kobiety wracały powoli do domu przesiąkniętą deszczem ulicą, gdy przed ich oczami wyłaniać się zaczęły widma gór, a powiało od nich milczącym majestatem ogromu i świeżości, żadnej z nich w oczach nie zamigotało to „coś”, co świetlanym ognikiem pobiegło ku czerwonej płachcie teatralnego afisza.

Nie było kontaktu tych dwóch dusz z duszą przyrody, stały one prawie martwe i tylko zdziwione, bez ściśnienia serca i potrzeby złowienia szerszego oddechu.

Nic w nich nie zatrzepotało spętanego i tak kornie zgnębionego w cuchnącej woni miast.

Dziecko milczało, zdjęte podziwem i nie śmiejące sformułować całości wrażenia, jakie odniosło.

Kobieta myślała:

– Gdybym miała towarzystwo, dla tego towarzystwa poszłabym może na wirchy.

W gruncie rzeczy jednak krew w nich krążyła leniwo, a te drugie istoty, te „one” rzeczywiste i prawdziwe, wracały umysłem do powiewającej na werandzie rozmokłej płachty teatralnej, która miała je zaprowadzić w krainę płóciennych, cuchnących smreków i strumieni, białą farbą namazanych.

Odczuwały, rozumiały tak naturę. Z nią, z tą papierową i cuchnącą, wchodziły szybko w kontakt i bez natężania pływały po powierzchni sztucznego stawku, napełnionego letnią wodą. Nie potrzebowały zdobywać się na wysiłek, jeden – jedyny, który byłby wprowadził je w głębie oceanu Piękna istotnego i dał im możliwość zlania ich dusz z duszą przyrody.

Zmartwiały wśród pyłów i kamieni miast, martwo czuły i martwe były ich upodobania...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI